

BRUNO JASIEŃSKI

**But w butonierce
(tomik)**

BRUNO JASIEŃSKI

But w butonierce (tomik)

[Dedykacja]

*Brunonowi Jasieńskiemu
genialnemu twórcy
«Buta w butonierce»
tę książkę zielonych
możliwości*

— poświęcam

[Jak introdukcja]

Całując owrzodzone palce syfilitycznej
kochanki dobrze jest słuchać ostrego
śpiewu mijających tramwajów,
kiedy muzyka w sąsiednim szpitalu
wariatów gra «dreaming»,
a w kinie na vis-a-vis,
onestępując czerwone walce
pod niebem water-sky
w zielonej gazowalce
po raz 30 000
umiera Mia May...

Żygające¹ posągi

Pani Sztuce

Na klawiszach usiadły pokrzywione bemole,
Przeraźliwie się nudzą i ziewają Uaaaa...
Rozebrana Gioconda stoi w majtkach na stole
I napiera się głośno cacao-choix².

¹żygające — popr.: rzygające; mamy tu do czynienia ze świadomym zabiegiem autora, jest to nie tyle błąd ortograficzny, co błąd futurystyczny.

²cacao-choix — likier kakaowy otrzymywany z ziarna lub proszku kakaowego, zawiera 25-35% alkoholu.

Za oknami prześwieca żółtych alej jesienność,
Jak wędrownie pochody biczujących się sekt,
Tylko białe posągi, strojne w swoją kamiennność,
Stoją zawsze «na miejscu», niewzruszenie correct³.

Pani dzisiaj, doprawdy, jest klasycznie... niedbała...
Pani, która tak zimno gra sercami w cerceau⁴,
Taka sztywna i dumna... tak cudownie umiała
Nawet puścić się z szykiem po 3 szklach curaçao⁵.

I przedziwne, jak Pani nie przestaje być w tonie,
Będąc zresztą obecnie najzupełniej moderne⁶. —
Co środy i piątki w Pani białym salonie
Swoje wiersze czytają Iwazskiewicz i Stern.

A ja — wróg zasadniczy urzędowych kular,
Gdzie się myśli, i kocha, i rozprawia, i je,
Mam otwarty wieczorem popielaty buduar
Platonicznie podziwiać Pani déshabillé⁷...

Ale teraz, jednakże, niech się Pani oszali, —
Nawet lokaj drewniany już ośmiela się śmieć...
Dziś będziemy po parku na wyścigi biegali
I na ławki padali, zadyszani na śmierć.

A, wpatrując się w gwiazdy całujące się z nami,
W pewnym dzikim momencie po dziesiątym Clicôt⁸,
Zobaczymy raptownie świat do góry nogami,
Jak na filmie odwrotnym firmy Pathé & Co.⁹

I zatańczą nonsensy po ulicach, jak ongi,
Jednej nocy pijanej od szampana i warg,
Kiedy w krzakach widziałem ŻYGAJĄCE POSĄGI
Przez dwunastu lokajów niesiony przez park.

*Ipecacuana*¹⁰

Na pierwszym moim koncercie,
(A może mi tylko śni się...)
Siedziała w trzecim rzędzie
Pani w niebieskim lisie.

³correct (ang.) — poprawny.

⁴cerceau (fr.: okrąg) — serso; gra rekreacyjna polegająca na rzucaniu i chwytaniu wiklinowego kółka na kijek. Wychodzi się ze starożytnego Rzymu, popularna w XIX i XX w.

⁵curaçao — nazwa gatunkowa likierów wytwarzanych ze skórek gorzkich pomarańczy; powstała od nazwy wyspy Curaçao u wybrzeży Wenezueli, gdzie uprawiano gatunek gorzkiej pomarańczy.

⁶moderne (fr.) — nowoczesny.

⁷déshabillé (fr.) — negliż, dezabil, ranny albo nocny domowy strój kobiety lub żartobliwie: niekompletny, niedbały strój.

⁸Clicôt — chodzi o markę szampana produkowanego od 1772 r. przez Veuve Clicquot Ponsardin w rejonie Reims we Francji

⁹Pathé & Co. — firma założona przez braci Charlesa, Emila, Jacquesa i Teofila Pathé w 1896 r. (początkowo jako Pathé-Frères). Produkowała kinematografy, fonografy i sprzęt projekcyjny, stając się potentatem w tej branży na rynku międzynarodowym. W 1897 powstało Pathé Cinema zajmujące się produkcją filmów.

¹⁰Ipekakuana prawdziwa (a. wymiotnica prawdziwa; łac. *Cephaelis ipecacuanba*) — gatunek wiecznie zielonego półkrzewu należący do rodziny marzanowatych. Występuje w stanie dzikim w wilgotnych lasach tropikalnych Panamy, Kolumbii i Brazylii. Jest używana w celach leczniczych.

I miała oczy wklęsłe,
Takie ogromnie dalekie.
I długie błękitne rzęsy.
I białe, zamszowe powieki.

Czytałem strofy rytmiczne.
Po myślach tłukł się Skriabin¹¹.
Siedziały w krzesłach damy
Z welwetu i z jedwabiu.

Siedzieli w krzesłach panowie,
Patrzyli wzrokiem żabim...
Czytałem rytmiczne strofy.
Po myślach tłukł się Skriabin...

I było wszystko, jak wszędzie.
I było wszystko, jak dzisiaj.
I była w trzecim rzędzie
Pani w niebieskim lisie.

Pluskali miarowo w ręce.
Rozeszli się wolno po domach.
Została kremowa Nuda,
Jak duża, śliska sarkoma¹²...

A potem księżyc stłukłem
I gażę chciałem we frankach,
I noc miała piersi wypukłe,
Jak pierwsza moja kochanka...

A wieczór byłem maleńki...
Płakałem w kąciku do rana
O smutnej niebieskiej Pani
Z oczami jak ipecacuana...

Morga

Przyjechali czarną, zamkniętą karetką.
(Był wieczór... jesienny wieczór...
Błoto — spleen — zapatwienie...)
Wynieśli coś ciężkiego, nakrytego płachtą.
Postawili nosze na kamienie.
Robili rzecz zwinnie.
Lampa oświetlała ich jasno, biało.
Było cicho... Deszcz śpiewał w rynnie...
Konie clapały kopytami...
(... Coś się stało... Coś się stało...)

Przystanął kilku ciekawych.
Patrzyli. Pytali.
Dolatywały pojedyncze słowa.

¹¹Skriabin — Aleksandr Nikolajewicz Skriabin (1872–1915), ros. pianista wirtuoz i kompozytor.

¹²sarkoma (fr. *sarcome*, z gr. *sarks, sarkos*: mięso) — w medycynie nowotwór złośliwy (zwany także mięśniakiem) rozwijający się z tkanki łącznej lub mięśniowej, bardzo szybko rozrastający się i wczesnie dający przerzuty.

Jakaś rozmowa urywana, krótka,
Prowadzona ściszym staccatem...
... 25 lat... prostytutka...
... sublimatem...

Podnieśli nosze. Weszli do sieni.
(Deszcz padał... krople tłukły o dach...)
Jeden świecił im z przodu latarnią.
(... Taniec cieni...)
Poniesli w dół po lepkich, wyslizganych schodach
Do ogromnej, sklepionej piwnicy.
Nosze stały rzędem.
Coś czarnego mignęło ... przepadło...
Może szczur?... Może cień z ulicy?...
Jeden świecił latarnią.
Przystanął.
Postawili pod ścianą.
Wytarli głośno nosy.
Wyszli.
Klucz zgrzytnął w zamku...
Jeszcze ciche oddalone głosy...
Jeszcze kroki cichnące na górę...
(... Jak myśli... jak myśli...)
Potem turkot po bruku za bramą...
I nic...
Cisza...
Ciemno...

Zostawili SAMĄ, zupełnie SAMĄ...
Samą jedną na uboczu.

Nosze stały szeregiem nieruchome, nakryte.
Noga przy nodze.
Z kąta błysnęła para zielonkawych oczu...
Jedna... Druga...
Wpatrywały się długo, badawczo...

Coś szeleściło po mokrej kamiennej podłodze...

Na górze paliły się lampy.
Chodnikiem włókł się jakiś pijany robotnik,
Wieczny po oceanach ulic argonauta.

Ulicą z świstem syren ścigały się auta.

Jerzemu, jeżeli chce

Cafe

Motto:

«Pan kapelmistrz zwariował widocznie...»

Karasiński i Verdi, i Strauss, i Bizet,
Filiżanki, łyżeczki i obłęd, i chichot.
Kapelmajster zziajany w skrzywionym pince-nez
Jeden z całą orkiestrą walczy, jak Don Kichot.

Ci się pchają! Ratunku!! Jeszcze jeden gość!
Powiedcież niech raz na klucz drzwi zamkną odźwierni!
Paanowie! Ja nie mogę! Paaanowie!! Już dość!!
Nie róbcie że z kawiarni jakiejś ekstazerni!

Utlenione, liljowe moje vis-à-vis
Pije grog, jak wytrawny stary alkoholik.
Ma w sobie coś z kościoła i coś z chambre garnie,
Półprofilem efroncko oparta o stolik.

Pani umie cudownie nosić swoją twarz...
Ale dlaczego Pani dziś tak dużo pije?
Pani jest taka «w tonie»... i ten dacolletage...
Jak dyskretnie odsłania wszystko... a nie szyję.

Niech się Pani nie gniewa. Ja dziś nie wiem sam!
I myśli zaprawione mam abrykotyną.
Jestem słodki dla wszystkich przestarzałych dam
I upaja mnie nawet... tango argentino.

Coś rozrasta się we mnie i gnie mnie przez pół
W jakichś liniach komicznych, rytmicznych i prostych.
Czuję, że zaraz wstanę i wskoczę na stół
I recytować zacznę nowy futurostych.

Panienki w lesie

Zalistował cichosennie w cichopłaczu cicholas,
Jak chodziły nim panienki, pierwiośnianki, ekstazerki,
Koływały się, schylały, rwały grzyby w bombonierki,
Atlasowe, żółte grzyby, te, co rosną tylko raz.

Opadały pierwsze liście na sukienki crêpe de chine,
Koływały się rytmicznie u falbanek walansjenki,
Zapłakały białe brzozy, podkrążone demimondainki
I złe buki, stare mruki, pogrążone w wieczny spleen.

Zalistował, zakołował, zaechował w cichośnie,
Posypały się kropelki na pluszowe pantofelki,
Zostawiły żal małeńki, zostawiły żal niewielki...
Pójdą dalej cieniem alej. Będzie płacz... a może nie...

Miłość na aucie

Było złote, letnie rano w szumie kołnych heksametrów.
Auto szło po równej szosie, zostawiając w tyle kurz.
Zbity licznik pokazywał 160 kilometrów.
Koło nas leciały pola rozpluskanych, żółtych zbóż.

Koło nas leciały lasy, i zagaja, i mokradła,
Jakaś łąka, jakaś rzeka, jakaś w drzewach skryta wieś.
Ja objąłem Panią ręką, żeby Pani nie wypadła.
Wicher zdarł mi czapkę z głowy i po polach poniósł gdzieś.

Pani śmiała się radośnie błyskawicznym tremolando,
Obryzany pani śmiechem śmiał się złoty, letni dzień
I w dyskretnym cieniu ronda z żytnich kłosów ogirlandą
Nasze usta się spotkały jeszcze pełne świeżych drgnień...

Może pani chciała krzyknąć? Świat oszalał jak od wina...
Wiatr gwałtowny bił w policzki, wiatr zapierał w piersiach dech.
Auto szło wariackim tempem 160 wiorst godzina.
Koło nas leciały pola, kępy drzew i czuby strzech.

Perche?

Mary

Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj?
Czekałem... Czekałem...
Mówiłaś że spotkamy się w naszej kawiarni.
Obiecałaś...
Cały wieczór siedziałem.
Wypiłem 4 czarne kawy.
Wchodzili różni ludzie, głośni, ordynarni.
Mówili. Pili. Gestykulowali.
Przy mnie siadł jakiś szlagon wąsaty w węgierce...
A ja byłem taki smutny, smutny...
Tak na mnie dziwnie patrzył ten kelner kulawy...
Wiesz.... On musi mieć dobre serce...

Dlaczego nie przyszedłeś?

Może jesteś chora?...
(... Na dworze deszcz płacze i płacze
Rozwiewny, bezkonturny...)
A może mąż był wczoraj w domu?...
Jaki on niedelikatny, gruboskórny.
Gdyby wiedział jak mi było przykro...
Nie mówiłem nic nikomu,
A tak bardzo liczyłem, że Cię zobaczę...

Dziś pójdę znów, jak będą zapalać latarnie.
Będę chodził i patrzył w twoje okna,

W twoje okna zasłonięte franką.
Zaczną zamykać sklepy, otwierać kawiarnie.
Deszcz będzie padał...
Będzie kapać z dachów...
Przejdzie koło mnie jakiś starszy pan pod parasolem...
Spytam się go, dlaczego Cię nie ma...
Co robisz?... Tak bym chciał wiedzieć...
Może wie, a może nie wie,
A może tylko nie chce odpowiedzieć?...
Będę chodził tam i na powrót po ulicy,
Taki smutny, jak wczoraj,
I liczył okna w twojej kamienicy...
Ulica będzie pusta...
Może wyjdiesz, może staniesz w oknie
W swojej czarnej, taftowej sukience...
Zresztą nie wiem czy bym Cię nawet poznał.
Wiem tylko, że masz słodkie purpurowe usta
I takie wąskie, białe, aksamitne ręce...

Dlaczego nie przyszłaś?...

Śmierć Pana Premiera

RAPSOD

Eleganckie, otwarte landau
Z fantazyjnie filmową szybkością
Elastycznie tańczyło po nierównym bruku
Zaprzężone w dwa białe, rasowe ogiery.

Pan Premier z wysokości pluszowej poduszki,
Oddając z lekka-grzecznie ukłony en gros,
Jak ktoś, kto ma cylinder i dobre maniery,
Myśli z przyjemnością:
— Świat jest, w zasadzie, piękny.
I słońce jest piękne. Niewątpliwie... —
(Pan Premier jest, jak zwykle, po dobrym śniadaniu)
— I piękne są dziewczęta w wiosennych manteaux
Na swoich śpiewnych biodrach kroczące leniwie.
Np. ta blondynka — pulchna, jak ciasteczko... —
(Pan Premier zakurzył buty przy wsiadaniu,
Otrzepuje je z lekka chusteczką)
— I jaka nadzwyczajna we wszystkim harmonia! —
(Pan Premier myśli filozoficznie)
— Przecież nie widzi chyba niewidomy!
Przez to, że węglarz jest brudny i czarny,
Jaśniej i bielej wyglądają domy.
(Zdaje się nawet jakiś myśliciel już to rzekł.)
I czym by było np. resorne landau,
Gdyby nie było wcale trzęsących dorożek?
Albo czy kwitłyby tak pięknie drzewa,
Gdyby zbrakło na świecie zwyczajnego... gnoju... —
(Pan Premier poetyzuje.
Jest dziś w wybornym nastroju.

Wiosna go olśniewa.)
— I jak wobec tych pięknych rzeczy są komiczni
Wszyscy posłowie socjalistyczni
Z tym swoim brudnym ludem, którym ciągle straszą.
Oni są po pierwsze nie-e-ste-tycz-ni...
Tak przesiąkli kapustą i kaszą...
Nie potrafią ocenić jak cudnym jest życie.
I w ogóle, gdy świat jest cały taki piękny, —
Bez wątpienia
Jest po prostu *nieprzyzwoicie*
Robić w nim jakieś zatwardzenia... —

Hopp...
Intermezzo.
Lekkie wstrząśnienie.
Szprycha zadziała koło w ciężarowym wozie.
Białe konie klusowieją dalej.
Pan Premier uprzytamnia sobie, że siedzi w powozie
I jedzie na posiedzenie.
Na poduszce, w skórzanym portfelu
Leży jego mowa,
Którą ma dziś wygłosić przed plenum.
Rzecz niby, w zasadzie, nie nowa...
Dobrze jednak, że dziś jest w humorze,
To mu w takich razach dodaje tlenu.
Poza tym mowa mu się udała,
No... i teraz jest tak pięknie na dworze...
Gdy przymknie oczy, bez mała
Zdaje mu się, że jest Wielkim Księciem
I jedzie gdzieś po miękkiej fiołkowej łące...
(I ludzie najtrzeźwiejsi mają swe poezje...)
— Jednak to wszystko jest strasznie męczące... —
Myśli Pan Premier z dystyngowanym ziewnięciem,
Z którym mu jest bardzo do twarzy...
— Dzisiaj w Sejmie 3 interpelacje,
Nie licząc samych wniosków nagłych...
Ten pasztet wczoraj na kolację
Na intencję holenderskiej misji
Był stanowczo cokolwiek nieświeży...
Poza tym interview 8 dziennikarzy
W sprawie nowej państwowej emisji...
(Strasznie ciekawy naród — ci Polacy...)
Potem bankiet u Ministra Zdrowia
Z 50-ej okazji urodzin...
Wszystko to, jeśli się zmierzy, —
Wypadnie na pewno 12 godzin pracy.
Robotnicy krzyczą ośmiu godzin!
Zobaczyliby ile mamy ich my, Ministrowie!
Ale to ich nie obchodzi... —
Tymczasem słońce świeci tak różowo...
Na ulicach bieleją kasztany...
Pan Premier nie wie co się dzieje z jego głową
Jest zupełnie słońcempijany.
Budzi się w nim odwieczny u człowieka kult Rha.
Stara się myśleć nad swoją mową.
Na porządku jest kwestia agrarna.
Mowa jest stanowczo non plus ultra.

Mocna. Zwięzła. Lapidarna.
Przy tym kwiecista i patriotyczna.
Wynalazł nawet piękną cytata z Verhaerena...
Jutro już będą o tym czytać sojusznicy...
W Sejmie można liczyć na poparcie.
Zrobi się mały rwetes na lewicy...
Zresztą, mówiąc otwarcie,
Zważywszy pro i contra pewnym jest, że chociaż...

Ryży, uciekający robociarz
W granatowej, połatanej bluzie...
Smutne niebieskie oczy — sen o eskimosie...
Pan Premier czuje jakiś dziwny śwąd...
Coś go kręci w nosie...
Musi kichnąć...
— Zaraz... aale skąd?... —

I-czi-hi!!!

Białe szalone konie, całe w krwi i w pianie,
Ponoszące na oślepie ulicą
Zaplątanego w lejcach siwego stangreta...
Ktoś krzyżący przeraźliwie — Ooooo!! —
Ktoś drugi wystraszony, splaszczony przy ścianie.
I czarne, roztrzaskane na drzazgi landau...

Ludzie.
Otoczyli.
Krzyczeli.
Machali rękami.
Znalazł się pompatyczny, zaspany constabel
Popychali się. Pchali. Wzdychali.
Wyciągnęli czarne palto z nogami
I z czymś mokrym, zamiast głowy...
Wszystko było fashionabl.
Ktoś pobiegł dzwonić po pogotowie.
Ktoś opowiadał jakąś dziwną okoliczność...
— Proszę się nie tłoczyć, Panowie. —
Powiedział poważnie okręgowy
I zaczął rozpychać publiczność.
Stali. Ubolewali. Wzdychali.
Kołysali domyślnie głowami...
A jeśli?..
Przyjechała karetka —
Podnieśli.
Kapało na ziemię.
Dużo lepkiej, brunatnawej krwi.

Jakaś dama fiołkowo-biała
Powiedziała: «Fi!»
I zemdlą.
Wsadzili. Odjechali.
Każdy cisnął się. Każdy chciał zobaczyć z bliska.

Policjant urzędowym tonem, dla formy,
Poprosił nie robić zbiegowiska.
Tramwaj ruszył z dzwonieniem, zgrzytaniem.
Potoczyły się dorożki, platformy.
Poszli ludzie. Pojechały landa.
Samochody. Karety. Mail-coache.
Długa kołopędna girlanda
Po nieznanej, liniowej wytycznej...
Z akacji opadały białe, ciężkie płatki...
Na rogach dyskutowali jeszcze długo
O sytuacji politycznej.
W drukarniach układali nadzwyczajne dodatki...
Została czerwona plama na asfalcie.
Konie ją rozniosły na kopytach.
Rozmazały ją koła, obcasy...
Chłopiec z cukierni lizał palce po biskwitach.
Państwo za wielką szybą jedli ananasy.
Pani mówiła panu: — Jutro nie przyjadę... —

Przyszeli łysy, parszywy pies
I zaczął lizać
Lepką, słodko-kwaśną marmoladę.

Deszcz

Motto:

«*Oh, le bruits de la pluie...*»

Verlaine

Pada deszcz. Pada deszcz.
Tańczą cienie na firance...
Biały Pierrot, nocny wieszcz,
Deklamuje lilii stance.

Nocą... Cśśścho... Wszystko śpi...
Jacyś... w kryzach... Mrok... rozplywa...
Wynosili coś przez drzwi...
Miękkie kroki wchodzą w dywan...

Krzywy pajac, biedny kłown,
Głupi rycerz Beatryczy
Twarz wykrzywił zło, jak faun,
Na podłodze siadł i KRZYCZY...

Jak chcesz wrzeszczeć — ciszej wrzeszcz!
Przyjdą ludzie!... Światła wniosą!...

Pada deszcz. Pada deszcz.
Monotonnie. Capricioso.

Trupy z kawiozem

p. Jance Grudzińskiej

Pani palce są chłodne i pachną, jak opium,
Takie małe pół-trupki anemiczne i blond,
Marzą o kimś, co by ich w pocałunkach utopił,
Jak w odymsce błękitnej papierosa «Piedmont».

Na nietkniętą serwetę coś bezgłośnie opadnie...
(Białe astry w flakonach umierają przez sen...)
Pani milczy tak cicho, melodyjnie i ładnie,
Jak w najlepszych preludiach lunatyczny Verlaine.

Może smutek zielony z twarzą negra z Zambezi
Owachlarzył dziś Panią, otuloną w pół-zmrok...
Pani słuchać chce moich egzokwintnych syntezji
Tak, jak pije się z kawą jakiś cordial-medoc.

Jednak Pani nie lubi przecież rzeczy zbyt ostrych
A czyż zawsze być można gentlemanem par force?...
Za minutę przyniesie nam szampana i ostryg
Lokaj z twarzą wyblakłą i pomiętą, jak gors.

Zresztą stać mnie dać nawet własne serce na rożen,
Jeśli z niego przyrządzą apetyczne filet...
Pani pachnie dziś cała ostrygami i morzem,
A ja kocham tak morze, zapłakane we mgle...

Za szybami ponurych, zieleniących się okien
Pierwszy brzask się przeczołgał, znieruchomiał i legł...
Pani dzisiaj jest chora... Pani płakać chce... Shoking!
Wypłowiąle kotary słyszą wszystko... jak szpieg...

Pani widzi w drobnostkach zaraz ton psychodramy...
Chwile życia są kruche i słodkie, jak chrust.
Czy dlatego, że my się, par exemple, nie kochamy,
Nie możemy całować swoich oczu i ust?

A ja chcę dzisiaj pieścić Pani piersi bez bluzki,
Chcę być dziko bezczelny i mocny, jak tur.
Pani dużo ma w sobie z rozpalonej Zuluski.
Pani usta się śmieją i mówią: toujours!

I, wsysając się w piersi Pani ostro-mdły zapach
W końcach palców poznaje się budzący się wstręt
Do tych kobiet, co dają się na brudnych kanapach
Karmelkowo-lubieżne i pokorne, jak sprzęt.

W Pani spazmach być musi coś z sapiących ekspresów.
Pani nogi falują tak lubieżnie i zło.
W Pani mieszka księżniczka księżycowych ekscesów
I członkini zrzeczenia dla dam comme il faut.

A chce Pani? Zerwiemy raz z tą wszystką hołotą!
Polecimy na oślep w samochodzie, jak w śnie.
U podjazdu na dole niecierpliwi już motor
Ofutrzonej mój szofer w swoim czarnym pince-nez.

Zeskoczymy po stopniach i zatrzasną się drzwiczki.
Wszystko zmiesza się razem — to co przed i co po...
Z pocałunków na rękach będziesz mieć rękawiczki
I z mussonu rajera na swoim chapeau!

Zatwostepią latarnie w oszalałym rozpędzie.
Zamigocą się domy i osuną się w dół.
Pójdą słupy i słupy i kosmate gałęzie,
Samym lotem z łoskotem rozcinane przez pól.

A w ustronnym salonie kiedyś późno wieczorem,
Kiedy będzie znów jasno i wesoło i źle...
Błady lokaj we fraku nasze trupy z kawiozem
Poda sennie na tacy wytworknemu milieu...

[Intermezzo]

Czy widzieliście oczy małego, wystraszonego psa, rozgnieczonego przez automobil ciężarowy, — duże okrągłe śliwki, maczane w tomatkach?...

Przejechali

KINEMATOGRAF

Piegowata służąca w białej bluzce w groszki.
Ktoś wysmukły, z rajerem.
— Przyjedziesz?... — «Nie mogę...»
Hooop!!
Samochody. Platformy. Dorożki.
Kinematograf szprych
Z kółłomotem gruchotał po wyschlłym asfalcie.
— Poczekaj... — «Nie, nie, nie prosź, bo mogłabym ulec.»
Dzyn! Dzyn!!
Tramwaj czerwony wytoczył się z alej.
Jeden. Dwa.
Minęły się w przelocie, dystansując drogę.
Złowieszczy śpiew szlifowanych szyn...
Mały człowiek w burym palcie...
Trrrrrach!!!
Stopp!!
Hamulec!

Aaaaaaaaaa!!
Przejechali! Przejechali!!

Lili nudzi się

Na kuszetce, przykrytej skórą jaguara,
Słomianowłosa Lili
Z oczami fiołkowo-czarnymi, jak chinka,
Zwinięta w kłębek czyta Maeterlincka,
Cedząc przez białe zęby srebrny dym cygara.
U jej nóg, na szerokiej, śniegopłatej kozie,
Olbrzymi ryżobiały Saint-Bernard
Napoleon
W wyczekującej pozie
Drzemie.

Leniwa czyhająca cisza popołudnia...

Książka z szelestem upada na ziemię.

Lili ziewa, jak kot.
Przeciąga się długo, żmudnie...
Siada,
Miniaturowe stopy opierając o psa...
Jest «interesująco» blada,
O ustach barwy karminowej szminki.
Może trochę za szczupła w ramionach.
Ma drobne, dziecinne plecy
I długie, linijskie nogi dziewczynki
Lubieżnie-miękkiej modelacji Ropsa.
Siedzi zapatrzona w okno.
Za oknem deszcz pada.
Drzewa mokną.
Jesień...
Ludzie chodzą w kaloszach po błocie...

Lili jest zimno.
Ściąga z oparcia czarny szal fokowy
I otula się nim po szyję.
Jest, jak małe dzikie kocię.
Miękkie. Drapieżne. Niczyje.

W salonie na zegarze wolno bije druga...
W klatce nad drzwiami,
Walcząc ze snem,
Wielka zielona papuga
Krzyczy swoje wieczne:
«Je vous aime!»

Napoleon macha ogonem.
Łasi się.
Podaje łapę.
Lili głaszcze go miękko, z odwróconą głową...
Nagle pies ze skowytem odskoczył dwa łokcie

I wtulił się w kąt, za kanapę.
Lili śmieje się krótko, nerwowo,
Oglądając pod światło różowe paznokcie....

Zaciąga się cygarem.
Dymi.
Chłoszcze szpicrutą swoje boskie uda.
Dym sączy się.
Znika.
Wije się, jak szeroka, popielata smuga.
Aż układa się w górze
Literami :
NUDA.

Cicho.
Zegar cyka.
Krzyczy papuga.

Lili zdaje się nagle, że jej pokój ziewa...
U jej nóg
W fałdach spływających tkanin
Szeregiem kart otwartych ziewał Siewierianin.
Pod ścianą z płytkiej, wymoszczonej niszy
Pianino szczyrzyło zęby swych klawiszy.
W wazach ziewały kwiaty senne, jak zatrute...
Lili wstaje.
Mnie w ręku szpicrutę.
Tremo odbija ją mętnie.
Podchodzi do okna.
Za okna firanką różową
Pochmurny dzień jesienny nudził się deszczowo...
Paszczami bram ziewały senne kamienice...
Milczy.

Psa, co się powłókł za nią, potrąciła nogą.
Patrzy długo na ulicę.
Ulica pusta.
Jakby ludzie wymarli.
Nikogo...
Dzwoni.
W drzwiach staje czarny, glansowany Charli...
Chwila — Oczekiwanie — Za oknem deszcz leje...

«Podać mi auto. Pojadę w aleje!»

Wiosna

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

Okrągli gentlemani w zielonych szapoklakach
Na okarynach grają lisztowskie *Funérailles*.

Na brudnym płocie wisi mój jasnożółty plakat.
W kawiarni na werandzie kakao pije Maj.

Ulicą idą wolno dwa długie sznury pensji.
Na płytach trotuaru jak brylant skrzy się dżet.

Spojrzenia powłóczyście przez przymrużone rzęsy
Soczyste są, jak likier i pachną Coeur de Jeanette.

Prozowierszem

Od zielonej lampy
na białym obrusie
kładą się półkola
ekstazyjne.
Chryzantemy milczą.
Pianino słucha.
Biały mops na pomarańczowym taburecie.
Granatowe niebo jest usiane gwiazdami, jak sztandar amerykański.
Z okna trzeciego piętra wyjrzał lunatyk i nie spotkawszy księżycy wrócił w łóżko małżeńskie, jak przyzwoity obywatel.
A księżyc nie ma. —
Księżyc ma stosunek z kotem na dachu sąsiedniej kamienicy.
Zegar cyka:
Już — czas. Już — czas.
Teraz wrócę już zaraz ze swojego koncertu,
pełen owacji,
recytacji
i wibracji,
jak potrącona mandolina.
Kiedy wbiegnę po schodach i stanę na progu.
mops ugryzie mnie w łydkę,
a ty podniesiesz się wolno ze swojego małego, utulnego fotelika.
Będziesz wyższa i smuklejsza niż zwykle,
a po końcach loków, co ci spadają na szyję, poznam, żeś na mnie czekała.
Dlatego powiem jaknajbardziej:
«Dzień dobry».
I — «Śliczna pogoda...»
A potem — «Strasznie mi się chce pić».
Wtedy ty podejdziesz do mnie zupełnie blisko-bliisko
i bez słowa podasz mi swoje małe,
wykrojone,
ładne
usta.
Pochylam się nad nimi i piję,
aż powoli lampa, mops i porcelanowy Paderewski zaczynają tańczyć jakiegoś dziwnego
cake-walka,
coraz prędeż, coraz prędeż,
a pośrodku tego wszystkiego
siedzi wielki czarny kot z zielonymi fosforyzującymi oczyma,
które znam tak dobrze.
Ale po trochu i te oczy zaczynają się powlekać lekką, puszystą mgłą,
a skądś z daleka,
z zaświatów
słyszę cichy, mistyczny szept,
jak szelest strun
wieczorem.

Śnieg

Białe kwiaty gdzieś na korsie... może w Nizzy.
Kołowije — Cichopada — Białośnieży.
Chodzą ludzie miękkestopi po ulicy,
Końca nosa im nie widać zza kołnierzy.

Uśmiechnęły się panienki w białych lisach
I podniosły wąskie palce aż ku ustom...
Był ktoś biały, co niebieskie listy pisał...
Było cicho. Było dobrze. Było pusto...

Z okna domu ponurego, jak «Titanic»,
Zaechował i wysączył się, jak trylik,
Płacz zmęczonej prostytutki, której stanik
Zafarbował ogniokrwisty hemofilik.

Ktoś się nagle chciał roześmiać, ale nie mógł...
(Oczy cichych czasem chłodne są jak marmur)
Czyjeś ręce pochylili się ku niemu
Z łyżką ciepła, kochaności i pokarmu.

A ulicą chodzi siwa Matka Boska,
Szuka Żalu, Zrozumienia i Pokuty...
Po witrynach, po parkanach i po kioskach
Jaskrawieją rozrzucone moje *Buty*.

Chcesz? — będziemy dziś przy gwiazdach tańczyć nago...
Daj mi dotknąć swoich miękkich ust-atłasów...

...Polecimy na Bleriocie do Chicago
Jeść o zmierzchu słodki kompot z ananasów...

Spacer

Śpiew propellera do słów Heredii,
Kiedyś zgubionych w smaltowej mgle..
Grałem jej jedną z moich komedii
W ekstrapowietrznym tylko-en-deux.

Słońce do głowy biło ekstazą.
Słowa spływały w jeden refrain.
Obserwowała mnie bezwyrazo
Spod tangoszalu przez face-à-main.

Nie wiem czy brała, com mówił, serio.
(Dwie lekkie linie w kącikach warg...)
Pod nami warczał rytmiczny Bieriot
I wiatr całował błękitny kark.

Miasto

SYNTEZJA

I.

Noc zimna.
Zła.
Przejmująca. Czarniawa. Chłodnista.
Nie widać ani źdźbła.
Deszcz leje, jak z cebra.
Na rogu policjant-statysta
Pod połę karabin podebrał,
Otulił się ceratowym płaszczem
Chodzi wolno, błyszczący, jak widmo,
Deszcz mu spływa z kaptura na oczy.
Po twarzy go chlaszcze.
Moczy.
Bębni po ceracie woda.
Raz... raz... pach-pach-pach... raz...
Woda...
Eh, czas!!
Psa wygonić szkoda!
Bieda nadałaż!
Bębni, bębni po ceracie woda.
Brzęczy cicho podwiązany pałasz.
Deszcz... deszcz... deszcz... po butach chlupie...
Chodzi wolny, zziębnięty, miarowy,
Zatrzymując się przy każdym słupie
Posterunkowy.

Z dalekiego czarnego zaułka
Zawarczało — zadudniło — zajękło.
Zabłysnęły dwa czerwone kółka.
Wynurzyło się spóźnione auto.
Pędzi, pędzi środkiem, jak burza.
Przeleciało z hukiem po kałużach,
Obryzgało od butów do głowy,
Zostawiło w nosie swąd niezdrowy
I na wargach smak kwaśny, jak ocet.
Jeszcze z dala się trąbką rozlega...
— Też diabeł dał to!
— Będzie się włóczył po nocy!
— Elegant!

A tam znów dwóch.
Wzięli się pod ręce.
Zachłapani po brzuch.
Dobrze cięci.
Idą prosto środkiem —
Nie skręcają.
Brzuchy naprzód wypięli, jak tanki.
Tylko patrzeć zrobią burdę.

Na rogu dom.
Jasno oświetlony.

Różowe firanki.
Ciepło. Przytulnie. —
Burdel.

2.

Na dole w dużej, oświetlonej sali
Z pluszowych bordo mebli pokrowce zdjęte.
Dwaj młodzieńcy, jeden starszy
Czekali.
Wszystkie panienki zajęte.
Siedzą mroczni. Milczą.
Noc ciemna. Dżdżysta.
Pali się elektryczny żyrandol.
Na pianinie student jurysta
Gra powolnie, rozmarzająco
Farandolle...
I pada deszcz...
Eh, życie!..

3.

Jak grywałem ja ci, Stasiu,
Griega, Mussorgskiego,
Powiedziałaś ty mi, Stasiu,
— Nie klej naiwnego. —
Oj, Stasiu, Stasiu,
Nie klej naiwnego.

Jak czytałem ja ci, Stasiu,
Błoka z Tetmajerem,
Powiedziałaś: — Kup mi lepiej
Kapelusz z rajerem. —
Oj, Stasiu, Stasiu,
Kapelusz z rajerem.

Jak uczyłem ja cię, Stasiu,
Składni, Geografii,
Powiedziałaś: — Chciałbyś darmo.
Každy tak potrafi. —
Oj, Stasiu, Stasiu,
Každy tak potrafi...

4.

Za portierą,
Po schodkach,
Na górze
Zabiegały przyspieszone kroki...
Głosy... Głosy... Gwar... Rumot... Stapania...
Co?.. Policja?.. Obława?.. Rewident?..
Niee. Nic, nic.
Maleríki incydent...
Z pokojów wychylają się goście przygodni.
Przysłuchują się...

Skandal poczuli.
Na korytarzu stoi łysy staruszek
Bez spodni
I krzyczy.
Dziewczyna rozczochrana, w koszuli,
Wtulila się w kąta za schody —
Jęczy:
— Nie mogę już...
— On mnie zamęczył... —
Staruszek zaspany
Mruga w świetle oczkami szklistymi od sadła
I krzyczy wkółko:
— Trzymajcie ją! Trzymajcie!..
— Ona mnie okradła!... —
— Co-o?.. Kto pana okradł? Gdzie pana okradli?!
— Pijany! Wariat!...
— U nas jeszcze nie było wypadku... —
Ucichło. Ucichło.
W czarnej nocy gdzieś dzwonił telefon:
— Halloo! Dziewiąty komisariat... —

5.

Deszcz mży. Zacina.
Chłodny. Miarowy.
Moknie na rogu
Posterunkowy.
Naciągnął kaptur.
Okrył się płaszczem.
Deszcz go natrętny
Po twarzy chlaszcze...
I gwizdże wiatr...

Z czarnego gardła ulicy,
Z samego spektrum
Z sykiem rozdarł ciemności
Żółty reflektor.
Szeleści woda.
Wicher powiał.
Pędzi karetka pogotowia.
Wymościła światłem drogę.
Widno...
Pędzi cicho, bez szelestu.
Węszy po ulicach,
Jak widmo.
Gdzie?.. Gdzie?.. Może tu?..
Tuu — tuu — tuu...

6.

Znowu ucichło.
Deszcz lunął gęstszy.
Zegar na wieży wybił trzy.
W imię Ojca i Syna!!
A to co!?..

Na skrócie ulic
Lampy migocą.
Lampy. Lampy. Lampy.
Wyspały z za węglą łańcuchem.
Białe. Oszałałe.
Biegną gdzieś, uciekają gdzieś, lecą parami
Ulicami. Bulwarami.
Nie zakręcą ani razu.
Raz — dwa — trzy! Raz — dwa — trzy!
Idzie mazur.
Para za parą! Para za parą!
En avant!
Eh, zimno!
Przeleciały armią szybką, stulicą
Nad zziębniętą ogłupiałą ulicą.
Zarzuciły łyse głowy
Na bakier.
Żegna się w trwodze posterunkowy
I spóźniony fiakier.
Popędziły dalej w tańcu
Wywijany, długi łańcuch,
Ulicami.
Zaułkami.
Bulwarami.
Zapędziły się na most nad rzekę.
W wodzie szarej i sinej
Przeładają łysiny.
Lampy. Lampy. Lampy...
Na moście stał jeden,
Trzymał się rampy,
Wymiotował w czarną wodę żółte bluzgi.
Blask mu oświetla żółty profil starczy...
Pod mostem woda bulgoce.
Przewala się. Jęczy.
Wzdycha i warczy.
Woda.

7.

Na piaszczystym nadbrzeżu stoczyły się lampy.
Kaźda 300 świec.
Zaroiły się lampy.
Wiec.
Na brzegu mokną sieci zatknięte na wiosła.
Tam, dalej nieco,
Kilku ludzi. Z latarniami.
Policjant.
Pochyleni nad czymś czarnym, bezkształtnym.
Świecą.
Co?...
Woda przyniosła.
Męty...
Kobieta. Twarzy nie rozpoznać.
Zzieleniała. Cuchnąca. Tragiczna.
Brzuch wydęty.
Ciężarna. W dziewiątym miesiącu.

Z ubrania fabryczna.
Odwrócili głowy chłopci,
Rybacy.
— Nowina!...
— Mało to się kurw topi...

8.

Zimny deszcz.
Sina rzeka.
Woda.
Jęczy. Bulgoce. Narzeka.
Zerwała śluzy.
Wzdyma się. Przybrała groźna.
Toczy z pluskiem czarne bańki.
Po brzegach, bokiem,
Migają domy. Czarne. Pokrzywione.
Gruzy.
Szczera zęby ślepych okien.
U Czarnej Mańki
Widno.
Zalatuje harmonia. Wesoło.
Deszcz ścieka...
Eh, dola!...
Płacze, beczy harmonia z daleka.
Przyśpiewuje.
— Poszła dzjeucha do miasta.
— Um-ta-ta. Um-ta-tà-ta-ta.
— Powróciła brzuchata.
— Um-ta. Um-ta. Um-ta-ta-tà.
— Oj ty wodo, wodo czarna,
— Śmiertelne kochanie.
— Oj przytulisz ty mnie, wodo,
— Na ostatnie spanie!
— Um-ta. Um-ta. Um-ta-ta-tà.
— Na ostatnie spanie...

9.

Deszcz tnie miarowy.
W szyby wodą pluje.
Chodzi, chodzi na rogu posterunkowy,
Co się zatrzyma — nasłuchuje...
Nic.
Okna zapuściły sztory.
Tam, w hotelu,
Światło całą noc się pali.
Ktoś chory.
Po doktora posyłali.
Przez okno widać czasem wysmukłą szatynkę.
Ciemny, głuchy cały parter...
Na trzecim piętrze światelko. —
Starszy pan zwabił do siebie 7-ioletnią
dziewczynkę

I gwałci ją na fotelu.
Dziecko ma oczy szeroko rozwarte...

Na rogu posterunkowy chodzi
Tam i na powrót. Tam i na powrót.
I patrzy w czarne okna.
Zza węgła podpatruje go złodziej.
Deszcz pada.
Mokną...

Ciemno. Cicho. Czarno.
Nikt się nie ozwie, nie zbudzi.
Pracuje, pracuje w nocy
MIASTO — FABRYKA LUDZI.
Przewracają się w łózkach podlotki.
Straszno. Zaparło dech.
Śni im się pierwszy, taki słodki,
Taki bolesny grzech.
Czernieją okna. Wszystko śpi.
Szaaa!... Czyjeś kroki za bramą...
Po burdelach, hotelach, po chambre garnie Tysiącem tłoków w rytmie krwi
Pracuje gigantyczne Dynamo.
Na kilometry sienników rozparło się Miasto —
Wielki, parzący się kurnik.
Będzie miał jutro robotę
Ze swoją armią krościastą
Dyżurny lekarz skórnik.
Po poczekalniach, po lecznicach
Przepastnych, jak lejki,
Po ambulatoriach szpitali —
Długie, pstre, nieskończone kolejki,
Jak wielka taśma słucka.
Czarny robociarz i biały bankier
Z bijącym sercem
Czekali.
— N-tak... Twardy szankier...
— Sprawa ludzka...

IO.

A deszcz pada.
Deszcz pada
Drobniotki.
Aksamitny.
Błękitny.
Powietrzny.
Nad rynsztokiem siadły w szereg smutki.
Płaczą płacz swój odwieczny...
Ulicami chodzi cisza, chodzi.
W czarne okna przez szyby zagłada.
W czarne okna, zamknięte, jak groby.
Wspina się na palców koniuszkach.
Twarz do szyb zapotniałych przyciska
I patrzy... —
Białe rozczochrane łóżko.
Rozrzucone części garderoby.

Pod łóżkiem nieodzownie zwykły sprzęt łowonny...
Na spoconym czole prostytutki
Spoczęły w ciszy tingl-tanglu
Pałące usta Madonny.

[Intermezzo]

Zielone są ręce moje,
i zielone są oczy moje,
i zielone są rzęsy moje,
jak peperment...

Biała nuda usiadła w kucki na czarnym dywanie i podaje mi fajkę nabitą antypiryną.
A z ściany vis-a-vis łysy, wyuzdany zegar uśmiecha się do mnie z wyrazem najdwuznacz-
niejszych propozycji...

Podróżniczki

*Towarzyszkom podróży na wszystkich
kolejach świata — poświęcam*

O podróże jednostajne na strzyżonym miękkim pluszu...
Wczoraj Marna, dzisiaj Wołga, jutro może Jan-Tze-Kiang...
Patrzę w oczy smutnej pani w fiołkowym kapeluszu
I już kocham się, jak sztubak, taki duży, sławny pan.

O wytarty plusz poduszki dosyć szorstkie wsprzeć policzki,
Turkot ciszę ukołysze, wszystko będzie, jak przez mgłę.
I znów przyśni mi się usta długorzęsej podróżniczki
Całowane gdzieś wieczorem koło Moskwy czy Louvain...

Przyjdą myśli wypłowiałe, jak dalekie sny o damach.
Tych, co kiedyś mnie kochały, zapomniały... może czas?...
Panieczki złotogłówki zmysłowięją w oknoramach,
Ostrym wiatrom się oddają z całej siły, pierwszy raz.

Może śnią im się w wiatrakach baśniejące złotozamki...
Pociąg czał przez pola węzłem z siłą 400 HP...
Panieczki złotogłówki obudziły w sobie samki,
Z przymkniętymi powiekami leżą wparte w kąt coupé.

Znowu zacznie się sonata, tylko nie ta nasza, Jana.
Moja biedna, moja cudza, biała matuś małej Li...
Coś podkradnie się do okna, jakaś bajka Kellermana,
Będzie patrzeć niewidziana w tańcu spermy, ciał i krwi...

Może jestem trochę senny?... Może jestem trochę chory?...
Niestrawiony, pieprzny obiad wywołuje refleks żal...
W rozdziawioną paszczę nocy depeszują semafony:
Jadę, król, do Polinezji, na swój autorecital!

Nic

Marsz

Siostronom od św. Samki

Tra-ta-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-ta-tam.
Tutaj. I tu. I tu. I tam.
Jeden. Siedm. Cztery-sta-cztery.
Panie. Na głowach. Mają. Rajery.
Damy. Damy. Tyle tych. Dam.
Tam. Ta. To tu. To tu. To tam.
W willi. Nad morzem. Płacze. Skriabin.
Obcas. Karabin. Obcas. Karabin.
Ludzie. Ludzie. Ludzie. Do bram.
Tra-ta-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-ta-tam.

Tam. Tam. Dalej. Za kantem.
Pani. Biała. Z pękiem. Chryzantem.
Pani. Biała. Czekala. W oknie.
Kwiat. Spadł. Kapnie. Na stopnie.
Szli. Szli. Rzędem. Po rzędzie.
Tam. I tam. I dalej. I wszędzie.
Młodzi. Zdrowi. Silni. Jak byki.
Wozy. Wiozły. W kozły. Koszyki.
W tłumie. Dziewczyna. Uliczna. Stała.
Szybko. Podbiegła. Pocałowała.
Ach! Krzyk. Tylko. To jedno.
Kwiaty. W pęku. Na ręku. Więdną.
Wolno. Cicho. Padają. Płatki.
W dół. Na bruk. Na konfederatki.
Eh! Pani. Pani. Biała.
Kurwa. Prosta. Przelicytowała!
Nam. Nam. Dajcie. I nam!
Tra-ta-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-ta-tam.

Panie. Panny. Panowie. Konie.
Jedzie. Dzwoni. Auto. W melonie.
Praczk. Szwaczki. Okrzyki. Kwiatki.
— Chodźmy. Panna. Do. Separatki. —
Panna. Płacze: — Idą. Na wojnę.
Takie. Młode. Takie. Przystojne. —
Rzędem. Za rzędem. Z rzędem. Rząd.
Wszyscy. Wszyscy. Wszyscy. Na front.
Ech by. Było. Młodych. Mam!
Tra-ta-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-ta-tam.

Ktoś się. Rozpłakał. Ktoś. Bez czapki.
Liście. Kapią. Jak gęsie. Łapki.
W parku. Żółknie. Gliniany. Heros.
Chłopak. Z redakcji. Pali. Papieros.
Ktoś. Ktoś. Upadł. Nagły. Krwotok.
Ludzie. Ludzie. Skłębienie. Potok.
Co?... Co?... Leży... Krew...

Łapią... Kapią. Liście. Z drzew.
— Puśćcie! Puśćcie! Puśćcie! Ja nieechcę!
Kurz. Kłębem. W zębach. Łechce.
Krzyk. Popłoch. Włosy. Drżą.
Krew... W krwi... Pachnie. Krwią...
Tam. Tam. Poszli. Pobiegły.
Duszno. Pusto. Usta. O cegły.
Tu. I tu. I na rękach. Krew.
Bydło! Dranie! Ścierwy! Psia krew!
Ech tam! Gdzie już. Nam!
Tra-ta-ta-ta-tam. Tra-ta-ta-ta-tam.

Poszli. Przeszli. Ile tu. Kobiet.
Panie. Idą. Gotować. Obiad.
Ktoś. W żalobie. Nie wie. Gdzie. Iść.
Stanął. Stoi. Ogląda. Liść.
Podniósł. Z drogi. Pomięty. Kwiatek.
Tyle. Panien. Tyle. Mężatek.
Tyle. Przeszło. Tyle ich. Szło...
Słońce. Świeci. Żółto. I mdło.
Zaraz... Zaraz... Zaraz wam... Zagram...
Panie. W kawiarni. Piją. Mazagran.
Wieczorem. W domach. U Św. Samki.
Przed. Matką Boską. Palily się. Lampki.

Tango jesienne

Z. K.

Jest chłodny dzień pąsowy i olive.
Po rżyskach węższy wiatr i ryży ceter.
Aleją brzóz przez klonów leitmotiv
Przechodzisz ty, ubrana w bury sweter.

Od ściernisk ciągnie ostry, chłodny wiatr.
Jest jesień, szara, smutna polska jesień...
Po drogach liście tańczą pas-de-quatre
I po kałużach zimny ciąg ich niesie.

Dziś upadł deszcz i drobny był, jak mgła.
W zagonach błyszczą woda mętno-szklista.
Wyskoczył zając z mchów i siadł w pół pas,
Słońcempijany mały futurysta.

Po polach straszą widma suchych iw,
A każda iwa, jak ogromna wiecha...
Aleją brzóz przez klonów leitmotiv
Przechodzisz ty samotna, bezuśmiecha...

I tyle dumy ma twój każdy ruch
I tyle cichej, smutnej katastrofy,
Gdy, idąc drogą tak po latach dwóch,
Ty z cicha nucisz moje śpiewne strofy...

But w butonierce

Zmarnowałem podeszwy w całodziennych spieszeniach,
Teraz jestem słoneczny, siebiepewny i rad.
Idę młody, genialny, trzymam ręce w kieszeniach,
Stawiam kroki miłowe, zamaszyste, jak świat.

Nie zatrzymam się nigdzie na rozstajach, na wiorstach,
Bo mnie niesie coś wiecznie, motorycznie i przed.
Mijam strachy na wróble w eleganckich windhorstach,
Wszystkim kłaniam się grzecznie i poprawiam im pled.

W parkocieniu krokietni — jakiś meeting paniński.
Dyskutują o sztuce, objawiając swój traf.
One jeszcze nie wiedzą, że, gdy nastał Jasiński,
Bezpowrotnie umarli i Tetmajer i Staff.

One jeszcze nie wiedzą, one jeszcze nie wierzą.
Poezyjność, futuryzm — niewiadoma i X.
Chodźmy biegać, panienki, niech się główki oświeżą, —
Będzie lepiej smakować poobiedni jour-fixe.

Przeleciało gdzieś auto w białych kłębach benzyny,
Zafurkotał na wietrze trzepocący się szal.
Pojechała mi bajka poza góry doliny
I nic jakoś mi nie żał, a powinno być żał...

Tak mi dobrze, tak mojo, aż rechoce się serce.
Same nogi mnie niosą gdzieś — i po co mi, gdzie?
Idę młody, genialny, niosę BUT W BUTONIERCE,
Tym co za mną nie zdążą echopowiem: — Adieu! —

Na bis

Czytały mnie białe panienki
Z podkrążonymi oczyma
I podkreślały ołówkiem
Pornograficzne stroniczki...
Ja jestem małym lift-boyem,
Którego nikt nie trzyma...
Ja jestem małym lift-boyem
W domu pąsowej księżniczki.

Na 120 piętro
Wożę jej bladych kochanków.
Wożę naiwnych kochanków
Do zamku Chryzolindy.
A potem czekam za drzwiami,
Czekam cierpliwie poranku.
A potem strącam każdego
W zieloną przepaść windy...

Ja jeżdżę tam i na powrót.
Ja jeżdżę tam i na powrót.
Ja nie śpię nigdy we dnie.
Ja nie śpię nigdy w nocy.
Szeregi nowych kochanków
Pukają ciągle do wrót
I nikt nie pyta, dlaczego?
I nikt nie krzyczy, pomocy!

Bezszumnie chodzi winda
Ciągle i ciągle głodna.
Bezszumnie wchodzi ludzie.
Bezszumnie trzaskają drzwiczki.
Dopiero tego wieczoru,
Kiedy nie dojdzie do dna,
Mnie będzie wolno nareszcie
Przekroczyć próg księżniczki...

Czytały mnie chore dziewczynki,
Jak bajkę z różowej feerii.
Czytali mnie starsi panowie,
Spierali się z sobą czasem...
Ja jestem małym lift-boyem
W szytej, złocistej liberii.
Ja jestem małym lift-boyem
Z szerokim czerwonym lampasem...

Czytali. Czytali. Czytali.
Kiwali głowami do taktu.
Spierali się z sobą czasem.
Miarowo. Rytmicznie. Na głos...
I jak tu nie tańczyć na głowie,
Kiedy świat jest cudowny? I jak tu...
Panowie, Panowie, pozwólcie!
Ja chcę pocałować was w nos!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/but-w-butonierce>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Jasiński, *But w butonierce*, wyd. Klub Futurystów "Katarynka", Warszawa, 1921

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: See-ming Lee  SML@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę** na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły** na [stronie Fundacji](http://www.nowoczesnapolska.org.pl).